

Nie popełniać życia

Helena miała ręce małe i spokojne.

Nie takie, które od razu coś robią.

Raczej takie, które najpierw wiedzą, że są.

Leżały czasem na stole po obu stronach kubka, jak dwa stare psy przy piecu. Kiedy ktoś wchodził do izby z płaczem, nie podrywały się. Kiedy ktoś mówił szybko, nie szukały od razu chustki, szklanki, krzesła ani rady.

Czekały.

Ludzie we wsi mówili, że Helena jest powolna.

Niektórzy mówili to z szacunkiem. Inni z niecierpliwością.

— Zanim ona się ruszy, to człowiek zdąży umrzeć — powiedział kiedyś młody lekarz, który przyjechał z miasta i miał torbę pełną narzędzi.

Helena usłyszała, ale nie odpowiedziała.

Tego dnia wezwano ich do młodej kobiety, która rodziła pierwsze dziecko.

Dom stał przy końcu drogi, za sadem. W sieni pachniało mokrym drewnem, mlekiem i strachem. Na piecu gotowała się woda, choć nikt nie wiedział już po co. Mąż kobiety chodził od drzwi do okna i z powrotem. Teściowa składała pieluchy, rozkładała je i składała od nowa.

Rodząca leżała blada, z włosami przyklejonymi do skroni.

Lekarz wszedł szybko.

— Ile godzin? — zapytał.

Ktoś odpowiedział. Ktoś inny dodał, że bóle są rzadkie. Ktoś trzeci powiedział, że dziecko chyba nie chce wyjść.

Lekarz otworzył torbę.

Helena stanęła przy łóżku i popatrzyła na kobietę. Nie na brzuch. Nie na prześcieradło. Nie na zegar.

Na twarz.

— Zosia — powiedziała cicho.

Kobieta otworzyła oczy.

— Ja już nie mogę.

Helena skinęła głową, jakby usłyszała coś zwyczajnego.

— Wiem.

Lekarz odwrócił się od torby.

— Niech pani jej nie mówi „wiem”. Trzeba ją zmobilizować.

Helena nie spojrzała na niego.

Położyła dłoń na brzegu łóżka, nie na kobiecie.

— Zosia — powiedziała jeszcze raz. — Nie pchaj teraz. Poczekaj na ciało.

— Ale ja się boję.

— To się bój.

W izbie zrobiło się dziwnie cicho.

Teściowa przestała składać pieluchę. Mąż zatrzymał się przy oknie. Lekarz zmarszczył brwi, jakby ktoś powiedział coś nieprzyzwoitego.

Zosia zaczęła płakać. Bez krzyku. Po prostu z oczu wypłynęły łzy i poszły bokiem twarzy w poduszkę.

Helena nadal stała z dłońią na brzegu łóżka.

Nie głaskała jej.

Nie pocieszała.

Nie mówiła, że wszystko będzie dobrze.

Po chwili Zosia odetchnęła głębiej. Potem jeszcze raz. Brzuch poruszył się inaczej, jakby coś pod wodą zmieniło kierunek.

Lekarz zrobił krok.

Helena uniosła palec.

Nie ostro. Nie jak rozkaz. Raczej jak ktoś, kto prosi psa, żeby nie spłoszył ptaka.

Młody lekarz zatrzymał się.

Następny skurcz przyszedł sam.

Zosia chwyciła prześcieradło. Tym razem nie krzyknęła od razu. Czekwała przez chwilę, z zaciśniętymi zębami, aż ból przejdzie przez nią cały. Dopiero wtedy wydała głos. Niski. Obcy. Niepodobny do niej.

Helena podeszła bliżej.

— Teraz możesz — powiedziała.

I wtedy wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Nie tak szybko jak panika.

Szybko jak rzeka, która po długim szukaniu znalazła spadek.

Lekarz był gotów. Jego ręce już prawie weszły tam, gdzie wchodzi się wtedy, gdy człowiek myśli, że trzeba pomóc życiu wyjść z człowieka.

Helena złapała go za nadgarstek.

Miała małe ręce, ale uchwyt miała taki, że mężczyzna stanął.

— Nie ciągnąć — powiedziała.

— Pani zwariowała? — syknął.

— Nie ciągnąć.

Zosia jęknęła. Dziecko pojawiło się kawałkiem ciemnej głowy.

Lekarz spojrzał na Helenę z gniewem.

— Ono się męczy.

— Ono idzie.

Nie było w tym zdaniu żadnej mądrości.

Było tylko miejsce.

Jeszcze jeden skurcz.

Jeszcze jedno rozdarcie twarzy.

Jeszcze jeden głos, który nie wyglądał na ludzki, choć właśnie najbardziej ludzki był.

Dziecko wysunęło się na dłonie Heleny.

Nie wyciągnęła go.

Przyjęła.

Przez krótką chwilę było cicho.

Za cicho.

Wtedy Helena poruszyła się bardzo szybko.

Odwinęła pępowinę z szyi dziecka, odwróciła je lekko, przetała usta, palcem zrobiła miejsce oddechowi. Nie pytała już nikogo. Nie czekała. Nie była powolna.

Jej ręce wiedziały.

Dziecko zakaszło.

Potem zapłakało.

Teściowa usiadła na krześle, jakby jej ktoś podciął nogi.

Mąż zasłonił usta dłonią.

Lekarz zamknął torbę zbyt głośno.

Helena położyła dziecko na piersi Zosi.

— Dziewczynka — powiedziała.

Zosia patrzyła na mokrą, sinawą twarz dziecka tak, jak patrzy się na kogoś, kto wrócił z miejsca, którego nie ma na mapie.

— Ona żyje? — spytała.

— Przecież krzyczy — powiedziała Helena.

I pierwszy raz tego dnia się uśmiechnęła.

Później, kiedy woda w misce była już różowa, a dziecko spało przy matce z policzkiem przy piersi, lekarz wyszedł przed dom zapalić papierosa.

Helena myła ręce w sieni.

Młoda dziewczyna, sąsiadka Zosi, która pomagała przy porodzie, stała obok z ręcznikiem. Miała oczy wielkie i przestraszone.

— Skąd pani wiedziała? — zapytała.

— Co?

— Kiedy nic nie robić. I kiedy zrobić.

Helena wytarła powoli jedną dłoń, potem drugą.

Za oknem wiatr poruszał nagimi gałęziami jabłoni. Na końcu jednej wisiał zapomniany, czarny owoc z poprzedniego roku. Trzymał się jeszcze, choć nic już z niego nie będzie.

— Tego się nie wie z głowy — powiedziała Helena.

Dziewczyna czekała.

— A skąd?

Helena odwiesiła ręcznik.

— Trzeba przestać lubić własne ręce za bardzo.

Dziewczyna nie rozumiała.

Helena też nie tłumaczyła.

Wróciła do izby. Poprawiła tylko lampę, bo światło świeciło Zosi prosto w oczy. Potem usiadła pod ścianą i zamknęła powieki.

Nie spała.

Słuchała.

Dziecko od czasu do czasu mlaskało przez sen. Zosia oddychała ciężko, ale równo. Dom, który przed godziną był cały napięty jak wiadro pełne wody, teraz stał miękko na swoich fundamentach.

Lekarz wrócił po chwili.

— Miała pani szczęście — powiedział.

Helena otworzyła oczy.

— Dziecko miało.

— Gdybyśmy czekali dłużej...

— Nie czekaliśmy dłużej.

Lekarz zamilkł.

Helena spojrzała na jego torbę.

— Pan ma dobre narzędzia.

— Są potrzebne.

— Wiem.

— Ale pani nie chciała ich użyć.

— Nie było jeszcze ich czasu.

Lekarz chciał coś odpowiedzieć, ale dziecko poruszyło się przy piersi matki i otworzyło usta. Szukało. Nie trafiło. Zosia chciała je podsunąć mocniej.

Helena pochyliła się.

— Nie wciskaj mu świata od razu — powiedziała.

Zosia zatrzymała rękę.

Dziecko kręciło głowę, marszczyło twarz, złościło się bezradnie. Po chwili samo znalazło brodawkę.

Zaczęło ssać.

Nikt nic nie powiedział.

Tylko stary zegar w kącie ruszył nagle po całym dniu milczenia. Tiknął raz, potem drugi, jakby dom przypomniiał sobie, że czas może iść dalej.

Kiedy Helena wychodziła, świt zaczynał szarzeć nad sadem.

Młody lekarz szedł obok niej przez chwilę. Śnieg skrzypiał pod butami. Przy bramie zatrzymał się i spojrzał na nią już bez gniewu.

— Pani naprawdę niczego się nie boi?

Helena poprawiła chustkę pod brodą.

— Boję się.

— Czego?

Popatrzyła na swoje ręce.

Były czerwone od mycia, zmęczone, trochę spuchnięte.

— Że zrobię coś za wcześnie i będę potem myślała, że uratowałam.

Lekarz nie odpowiedział.

Helena ruszyła w stronę drogi.

Po kilku krokach odwróciła się jeszcze.

— Panie doktorze.

— Tak?

— Życia się nie popełnia.

Stał przy bramie z papierosem w dłoni, który dawno zgaś.

— A co się robi?

Helena wzruszyła ramionami.

— Jak przychodzi, to się je przyjmuje.

I poszła.

W domu za jej plecami dziecko zapłakało krótko.

Nikt nie biegł od razu.

Matka poruszyła się powoli.

Znalazła je po omacku dłonią.

I wystarczyło.

